

구병모

GU BYEONG-MO

위저드 베이커리

PIEKARNIA CZARODZIEJA

Young

CU BYEONG-MO

구병모



PIEKARNIA CZARODZIEJA

위 저 드 베이커리

Przekład

ANNA DINIEJKO
i ŁUKASZ JANIK



Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:
위저드 베이커리 *The Wizard's Bakery*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Agata Garbowska
Redakcja: Adrian Kyć
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt i ilustracje na okładce: Urszula Gireń
Projekt stron rozdziałowych: Urszula Gireń
DTP: Maciej Grycz

위저드 베이커리 *The Wizard's Bakery*
Copyright © 2009 by Gu Byeong-mo
All rights reserved.

Originally published in Korea by Changbi Publishers, Inc.
Polish Translation copyright © 2021 by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus
Polish edition is published by arrangement with Changbi Publishers, Inc. through Korea
Copyright Center, Inc.

Polish Copyright © 2021 for the Polish edition by Young
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus
Polish Copyright © for the Polish translation by Anna Diniejko i Łukasz Janik, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-66815-11-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

SPIS TREŚCI

PROLOG	7
ROZDZIAŁ 1. Gałąź leszczyny	19
ROZDZIAŁ 2. Diabelskie ciastko cynamonowe	51
ROZDZIAŁ 3. Rogalik z kremem orzechowym	83
ROZDZIAŁ 4. Warkocz orzechowy i marcepanowa lalka voodoo	101
ROZDZIAŁ 5. Atak sukkuba	125
ROZDZIAŁ 6. Cofacz czasu	147
ROZDZIAŁ 7. Białe kakao w proszku	165
ROZDZIAŁ 8. Dokładnie wtedy	181
OPCJA „TAK”	195
OPCJA „NIE”	207

PROLOG

Zapachniało cukrem palonym na średnim ogniu. Od razu wyostrzyły mi się zmysły. Poczujęm elastyczność świeżo zagniecionego ciasta, usłyszałem, jak z kawałka żółtego masła topionego na patelni tworzy się piana, zobaczyłem falisty wzór utworzony przez miękko ubitą śmietankę przyozdabiającą filiżankę kawy. Ilekroć stałem przed piekarnią, wyczuwałem fermentowanie drożdży i subtelny zapach polewy figowej albo morelowej, którymi tego dnia posmarowano tartę.

Mam dość pieczywa.

W odległości około stu metrów od mojego osiedla, niedaleko przystanku autobusowego, znajdowała się piekarnia całodobowa. Zawsze mnie zastanawiało, czy są tacy, którzy o pierwszej lub drugiej w nocy mają zachcianki na coś w rodzaju rogalika nadziewanego zawiniętymi pokrojonymi cienko plastrami szynki czy też zwykłego bajgla pachnącego

ziołami. Piekarnia była oświetlona dwadzieścia cztery godziny na dobę i w każdej chwili otwarta dla klientów.

Przez okno widziałem dziewczynę w moim wieku, może młodszą. W ciągu dnia obsługiwała kasę. Po wejściu do piekarni zza lady było widać kuchnię, gdzie mężczyzna około dwudziestki lub trzydziestki piekł coś pysznego. Wokół roztaczał się słodki zapach. W nocy dziewczyny nie było, a Piekarz krążył między kuchnią a kasą, obsługując klientów. (Nie żeby mieli wtedy duży ruch). Podobnie jak w przypadku większości małych piekarni w sąsiedztwie, które nie były francyzami, Piekarz wyglądał na jej właściciela.

Jak na małą piekarnię robili wiele wypieków. Za każdym razem, gdy mijałem to miejsce, w powietrzu unosiły się drobinki mąki i łaskotały mnie w nos, a cząsteczki cukru topiły się na czubku mojego języka. Co dwa dni pod piekarnię podjeżdżał samochód dostawczy i rozładowywano mnóstwo paczek, jakby właściciel zamawiał zbyt dużo towaru.

Późne godziny pracy i absurdalnie duża produkcja w stosunku do wielkości zakładu to niejedyna osobliwość tego miejsca. Rzecz w tym, że Piekarz wyglądał na niezłe stukniętego. Ale to była moja osobista opinia, którą wyrobiłem sobie po kilku incydentach. Nie wiem, czy inni klienci piekarni zgodziliby się ze mną.

O ile Piekarz nie otwierał ust, wszyscy widzieli w nim obdarzonego pewną dozą tajemnicy, inteligentnego, skromnego rzemieślnika i fachowca. Nosił na głowie śmiesznie

wyglądający papierowy kapelusz, spod którego wystawał kucyk. Twarz miał koloru drobno przesianej mąki. Skrupulatny, o zwinnych i zręcznych ruchach. Wykwalifikowany specjalista od wypieków, który zarabiał wystarczająco dużo wyłącznie dzięki dobrej opinii klientów i nie musiał przystępować do sieci franczyzy.

Do tamtej pory ja także myślałem o nim w ten sposób. Aż pewnego dnia wskazałem szczypcami ciastko. Przypominało bułkę z kruszonką, ale z pewnymi wątpliwymi modyfikacjami, więc zapytałem, co jest w środku.

Dziewczyna przy kasie zaczęła wyjaśniać:

– Owies, żyto i...

– Wątroba – przerwał jej głos. – Suszona wątroba.

Podniosłem głowę i zobaczyłem Piekarza stojącego w drzwiach kuchni, tuż za sztywniejącymi ramionami dziewczyny.

– Drobnio zmielona wątroba noworodka. Trzy części wątroby zmieszane z siedmioma częściami mąki.

Szczypcę wysunęły mi się z dłoni. *Brzęk* – metal uderzył o podłogę. Naprawdę nie wierzyłem, że mógł włożyć do bułki suszoną czy surową wątrobę. A nawet gdyby zawierała wątrobę, musiałaby ona pochodzić od świni, a nie od nowo narodzonego dziecka (pomijając w ogóle nieprzyjemny smak). Ale po co żartował ze składników? To tylko kwestia czasu, zanim rozeszłaby się plotka, że Piekarz jest stuknięty. Wspólnota mieszkańców z pobliskich bloków mogłaby doprowadzić do zamknięcia piekarni z obawy o wartość nieruchomości.

Dziewczyna z kasy wierzchem dłoni klepnęła Piekarza w brzuch i fuknęła, żeby przestał się wygłupiać.

Oczywiście stroił sobie żarty. Kiedy westchnąłem i schyliłem się, żeby podnieść szczypce, zwróciłem uwagę na waflowe ciasteczka na półce obok. Dostrzegłem, na co patrzę.

– Kupa burzyka szarego – powiedział. – Bardzo cienko rozsmarowana pomiędzy dwoma waflami. Polana syropem z marynowanych kruczych gałek ocznych. Zachowują delikatną równowagę między słodkim, gorzkim i kwaśnym smakiem, jak kawa z Etiopii...

– Chcesz wypędzić wszystkich klientów? – Dziewczyna dźgnęła go w bok.

Dlaczego dokuczał mi tak drętowymi dowcipami? Z ciekawości, jak daleko zajdzie, wskazałem na coś, co wyglądało jak żelki.

– Trzy paczki kocich języków. Perskich, syjamskich, abisyńskich.

Głośno odłożyłem szczypce na blat. Dziewczyna wzięła je i schowała się z tyłu, aby je umyć, a Piekarz poprawił czapkę i znowu się zaśmiał.

– Nie żartuję. Mówiłem prawdę, myślałem, że dzieciak taki jak ty zrozumie.

Kogo nazywasz dzieciakiem?

Rozejrzałem się po piekarni. Różowo-żółta tapeta w kratkę dodawała wnętrzu przytulności. Jeden z tych okropnie zaprojektowanych kalendarzy rozdawanych co roku za darmo w bankach lub kościołach krzywo wisiał na ścianie. Witryna, w której w prostych rzędach i kolumnach poukładano

ciastka, lśniła taką czystością, że nie było widać śladu palców, a w świetle górnych lamp rączka witryny połyskiwała złotem. Ale ogólnie rzecz biorąc, nie było tam nic szczególnego, a samo miejsce wyglądało na zaniedbane. Niemniej jednak w ścianie ani nie dostrzegłem żadnych pęknięć, ani żadna nieokreślona ciecz nie spływała struzkami po jej szczelinach, wywołując smród czy psując atmosferę w pomieszczeniu. Warunki sanitarne nie były złe. Po prostu umiarkowanie zadbane skromna piekarnia z sąsiedztwa. Piekarz też wyglądał normalnie. Bez względu na to, jak mocno wytężyłem wzrok, i pomimo tego, co powiedział, nie było w nim nic przerażającego.

Jąkając się, zapytałem go, czy jest coś, co mógłby polecić do jedzenia normalnej osobie. Chwyciłem torbę zwykłych bułek, bez dodatkowej kielbasy, sera lub czegokolwiek innego, i położyłem na blacie. Na pewno nie było w nich nic oprócz podstawowych składników takich jak mąka, jajka i mleko. Próbowałem zachowywać się swobodnie, ale słuchanie tych absurdów na temat zawartości wcale nie było takie proste. Gdy Piekarz mijał dziewczynę w drodze do kuchni, odpowiedział niepytany:

– Zamiast mąki zebrałem łupież Roszpunki...

Podniosłem rękę, przerywając mu, zanim dziewczyna zdążyła się wtrącić, i położyłem na blacie dwa tysiące pięćset wonów. Ocena zakończona – Piekarz jest pomyłony.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Nagle poczułem, jak gdyby ta obskurna piekarnia z sąsiedztwa znajdowała się w środku ciemnego lasu, który pojawia się w bajkach: „Pewnego razu czarodziej mieszkał w głębokim

ciemnym lesie i dzień w dzień przygotowywał różne wypieki. Za każdym razem, gdy przez las przechodził podmuch wiatru, liście szeleściły, ocierając się o siebie, i niosły zapach tych wypieków na zewnątrz, na skraj kniei”.

Gdy tylko wrócę do domu, chyba będę musiał opowiedzieć o wszystkim i zapytać, czy ze względu na mieszkające tutaj dzieci ktoś nie powinien czegoś zrobić z tym szurniętym facetem z piekarni na parterze w trzecim budynku od przystanku autobusowego...

Ale komu, do licha, mam powiedzieć?

Wróciłem do domu i otworzyłem kluczem drzwi wejściowe. W środku nie było nikogo, kto by mnie wysłuchał. Czy nie dlatego kupiłem pieczywo w drodze do domu? Mogłem tylko urwać kawałek bułki i popić łykiem mleka, przeżuć dzisiejsze emocje, które nie były ani zbyt suche, ani zbyt wilgotne, a następnie schować je w szczelnym pojemniku i upchnąć gdzieś głęboko.

Dosyć o innych. W gruncie rzeczy kim jestem, aby osądzać czyjeś zdrowie psychiczne? W oczach świata to prawdopodobnie ja jestem dziwakiem, a nie ktoś, kto prowadzi własny sklep, nawet najmniejszy.

Moje jąkanie zaczęło się cztery lata temu. Gdy czytam coś na głos, robię to pewnie i nie mam problemów z wymawianiem słów. Potrafię ostrożnie szkicować myśli na papierze, a potem czytać je głośno bez żadnych trudności, ale nie jestem w stanie wypowiedzieć nawet zwykłego „tak” lub „nie”, jeśli nie mam przed sobą tekstu.

Zastanawiam się, który obwód w moim ciele został uszkodzony lub zainfekowany. Dla mnie litery stały się neuroprzekaznikami stymulującymi leniwie brzęczące synapsy. Bez nich moje myśli nie chciały przemówić. Bez liter nie należały do mnie, były czymś zbyt trywialnym, by nawet nazwać je myślami – komunikatem o błędzie, który wrzuca się do kosza zaraz po wydrukowaniu. Jak niekompletne słowa z wyciętymi w kilku miejscach otworami.

Gdyby ktoś próbował mnie pocieszyć, mówiąc, że każdemu bywa trudno szybko myśleć i budować spójnie zdania, to zgodziłbym się, że taka opinia jest słuszna. Ale dla mnie było to więcej niż trudne. Wręcz niemożliwe. Bez względu na to, jak bardzo się starałem, bez względu na to, jak cierpliwie druga osoba czekała na słowa, rezultatem było zawsze to samo przerywane westchnienie spółgłosek i samogłosek ciągnące się i powtarzające bez żadnego znaczenia.

Objawy po raz pierwszy pojawiły się pod koniec szkoły podstawowej. Na początku nie mogłem zrozumieć, co się dzieje. Wkrótce po tym, jak zdałem do gimnazjum, mój wychowawca zwrócił się do mnie tymi słowami:

– Wszystko w porządku. Po prostu powiedz „tak” lub „nie”.

Pomimo bardzo prostych opcji, które miałem przed sobą, najpierw powiedziałem „tak”, a następnie „nie”, po czym znowu „tak”. Zdążyłem powtórzyć te słowa około dziewięciu razy, zanim nauczyciel zdecydował się na klasyczną i podnoszącą na duchu interakcję uczeń–wychowawca, czyli mocne uderzenie w twarz.

– „Tak” lub „nie”, do cholery!

Po kilku kopnięciach i świście bata odruchowo zwinąłem się w kłębek, żeby zminimalizować potencjalną powierzchnię obrażeń. Znajdowałem się w niewielkim pokoju nauczycielskim numer trzy zajmowanym przez zaledwie dwunastu pedagogów. Oprócz mnie nie było tam żadnych uczniów, którzy mogliby nagrać aparatem telefonicznym belferską brutalność. Nie pamiętam, jakie było pytanie nauczyciela, który chciał wydobyć ze mnie „tak” lub „nie”.

Pod koniec roku, kiedy ten sam nauczyciel znowu wezwał mnie na coroczną rozmowę z doradztwa zawodowego, przygotowałem kartkę i ołówek w nadziei, że oszczędzę sobie przynajmniej jednego ciosu. Pedagog przeczytał moją przemyślaną, wymowną, logiczną i co najważniejsze, skrupulatną odpowiedź. Przyznał, że żałuje, że źle mnie osądził, ale uważa, że naprawdę powinienem pójść do lekarza, zanim zacznę myśleć o swojej przyszłości.

– Co zamierzasz robić, jak wejdiesz w dorosłe życie? Nie dostaniesz się na studia, nie mówiąc już o znalezieniu pracy. Jeśli podczas rozmowy kwalifikacyjnej będziesz mamrotać, jakby kot ugryzł cię w język, nikt cię nie przyjmie do pracy. Jesteś już dorosły. Jak długo zamierzasz być małym chłopcem?

Kiwnąłem głową, ale w środku zadrwiłem z niego: „Ty krótkowzroczny prostaku. Wyciągasz wnioski na podstawie tego, co powiedział ci mój ojciec, który z poczucia obowiązku pojawił się na dniu otwartym?”

– Jest moim dzieckiem, ale nie byłem dla niego dobrym ojcem. Prawie się nim nie zajmowałem. Biedak, gdy miał

zaledwie sześć lat, jego matka porzuciła go na stacji Cheongnyangni. Odnalazłem go tydzień później! Co to był za żaloszny widok. Byłem tak zaafierowany tym, co stało się z jego matką, że nie potrafiłem się nim zaopiekować. Nie miał wtedy nikogo... Musiałem wysłać go wcześniej do szkoły, by ktoś mógł go przynajmniej dopilnować w ciągu dnia. Ale teraz ma macochę, która zapewnia mu stabilne warunki, dlatego jeśli pan może, proszę go po prostu otoczyć opieką.

Gdyby nauczyciel był trochę bystrzejszy, zauważyłby podejrzany upływ czasu między porzuceniem a pojawieniem się mojego jąkania i stwierdził, że związek między nimi jest bliski zeru. (Więcej na ten temat później).

Od tamtej pory do końca gimnazjum żaden z nauczycieli nie wezwał mnie do odpowiedzi. Nawet na lekcji matematyki, kiedy sprowadzało się to tylko do podania liczby, nikt z wyjątkiem wybranej grupki nauczycieli sadystów lub niezadowolonych z zastępstwa nie chciał prosić do odpowiedzi dzieciaka, który spowolniłby tempo pracy klasy.

Gdy masz problem, który cię wyróżnia, zawsze znajdują się tacy, którzy próbują cię wykończyć dla hecy. Mimo braku doświadczenia w bójkach i średniego wzrostu pokonałem swojego dręczyciela metodą zaliczaną w podręczniku techniki walki do „samoobrony dla kobiet”. Gdy ktoś cię bije, kucnij jak najniżej. (Uważaj, aby nie być zbyt blisko ziemi, bo wtedy zaczyna się kopanie). Ramiona napastnika podążą za tobą. Pociągnij go w dół, a następnie podskocz, mocno podnosząc rękę. Spowoduje to zwichnięcie

ramienia przeciwnika. (Ostrzeżenie: uciekaj tak szybko, jak to możliwe, gdy przeciwnik krzyczy, inaczej twoje stawy także mogą być w niebezpieczeństwie).

Ojciec pokrył koszty leczenia dręczyciela, a mnie na tydzień zawiesili w prawach ucznia. Po powrocie do szkoły zauważyłem, że pod moją nieobecność fakty na temat bójki zostały mocno wyolbrzymione. Inne dzieciaki mnie unikały. Po tamtym zdarzeniu życie szkolne toczyło się w miarę bezboleśnie. Nauczony błędami z gimnazjum, w liceum publicznie oświadczyłem, że mam problemy z mówieniem.

Mieliśmy z właścicielem piekarni coś wspólnego – tak długo, jak trzymaliśmy usta na kłódkę, nikt nie wiedział, że obaj jesteście stuknięci. Właśnie dlatego mnie zaciekawił, wyczuwałem pomiędzy nami więź.

Gonią mnie.

Spiralne korki na spodzie moich trampków zamasyście i niezgrabnie ocierają się o ziemię. Zapach rozgrzanej od tarcia gumy uderza mnie w twarz. Wiatr przegania odgłosy wrzasków, krzyków i wściekłości, które niemal depczą mi po piętach. Kiedy mknę ulicą, dociera do mnie, że nie mam dokąd biec. Mógłbym spędzić noc w kafejce internetowej czy w podobnym miejscu, ale wszystko stało się tak szybko, że wybiegłem z domu bez niczego. Nie mam nic do powiedzenia, więc telefon, którego prawie nigdy nie używam, trzymam w torbie obok biurka. Nie chodzi o to, że mój telefon miałby teraz jakieś znaczenie. Czy mam „przyjaciół”, do

których mogę zadzwonić? Czy ktoś zaprosiłby mnie z otwartymi ramionami i nie był sfrustrowany moim jękaniami? Mam ciocię i babcię ze strony mamy, ale nie odezwały się od sześciu lat. Nie wiem, czy żyją, czy nie, nie mówiąc już o tym, gdzie mieszkają. Jak długo i jak daleko mogę tak biec? Wkrótce zabraknie mi pomysłów. Widzę piekarnię.

Z trudem łapię powietrze. Dostrzegam Piekarza obok anonimowych odcisków dłoni odbitych na oknie wystawy.

Z powodów niezależnych ode mnie jestem stałym klientem piekarni. Gdyby nie wada wymowy, zapytałbym go z ciekawości: „Dlaczego ta piekarnia jest czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę? Czy kiedykolwiek ktoś przyszedł po pieczywo tak późno w nocy?”

Piekarz sprawia wrażenie, jakby był cały czas zajęty pracą, ale na pewno są rzeczy, które od czasu do czasu budzą w nim emocje. Czy nie jest samotny, pracując tam dzień po dniu zupełnie sam? I co najważniejsze: kiedy on śpi?

Jednak dzięki jego całodobowej piekarni mam gdzie szukać schronienia. Otwieram drzwi. W sklepie jest ciepło od świeżego pieczywa. Spogląda na mnie tymi swoimi jasnobrązowymi oczami. Jest bez czapki. Ma na sobie zwykłe ubranie, a nie biały fartuch. Czy piekarnia jest zamknięta na jeden dzień? Z moich ust nagle padają pośpieszne słowa desperacji:

– Ukryj mnie – proszę go bez cienia jękania.

Nigdy nie będą podejrzewać, że chowam się w piekarni zaledwie sto metrów od osiedla, zamiast biec tak daleko, jak tylko dam radę.



Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059